

Profesor Krzysztof Fiałkowski, fizyk-teoretyk cząstek i oddziaływań przy wysokich energiach, zmarł 7 listopada 2014 roku w Krakowie. Był moim kolegą ze studiów i przez 53 lata moim serdecznym Przyjacielem. Pasjonował się wieloma pozazawodowymi zagadnieniami – między nimi twórczością pisarską Stanisława Lema (1921–2006).

Poniższy esej pierwotnie ukazał się w czasopiśmie internetowym „Zwoje – The Scrolls” 32/2002.

Andrzej Kobos

Lem i ja (my)

KRZYSZTOF FIAŁKOWSKI

Moją pierwszą reakcją na propozycję napisania „czegoś o Lemie” było wzruszenie ramion – po co? Przecież napisano już o nim, o jego powieściach, opowiadaniach i esejach tyle mądrych artykułów, a nawet książek. Zresztą „Lem jaki jest, każdy widzi” – Jego dzieła rozeszły się w milionach egzemplarzy nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech, Rosji, Stanach Zjednoczonych.

Ale po chwili zastanowienia zdałem sobie sprawę z tego, że warto jednak przekazać, kim był i jest Stanisław Lem dla mojego pokolenia, urodzonego w latach czterdziestych – pokolenia, które wolno lecz nieuchronnie odchodzi. Może skłoni to choć kilku młodszych do ponownego odczytania książek Lema? A przy tym wspomnienie, jak ponury był czas, gdy te niezwykle książki trafiały do czytelników, budzi we mnie zawsze optymizm, którym chciałbym się podzielić: któż mógł wtedy przewidzieć, że „wybijemy się na niepodległość”?

Słownik *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* w piątym tomie z roku 1997 poświęca Lemowi 13 stron tj. więcej niż obu Mackiewiczom razem wziętym. Jest to wynik rozległości bibliografii, obejmującej 57 pozycji. Samych powieści można naliczyć 15: od *Człowieka z Marsa*, drukowanego w odcinkach w 1946 roku, przez *Astronautów*, *Obłok Magellana* i *Czas nieutracony* z lat stalinowskich, *Eden*, *Śledztwo*, *Pamiętnik znaleziony w wannie*, *Powrót z gwiazd*, *Solaris*, *Niezwykniętego* i *Głos Pana* z lat 1957–1970 do późnych: *Kataru*, *Wizji lokalnej*, *Fiaska* i *Pokoju na Ziemi*. Powieści te już wiele lat temu doczekały się w sumie 170 przekładów. A przecież niemniej ważne są opowiadania, eseje czy felietony i inne formy, specyficzne dla Lema – bo jak właściwie nazwać recenzje z nieistniejących książek lub wstępy do nich?

Miałem chyba osiem albo dziewięć lat, gdy wziętem w rękę niepozorny tomik z tytułem *Astronauty*. Byłem już wówczas „żarłocznym czytelnikiem”, albo jak mówią Amerykanie, „compulsory reader”, więc jednym tchem przeczytałem całą książkę. Jak to się stało, że wyróżniłem ją natychmiast wśród stosu pochłanianej wówczas przeze mnie literatury młodzieżowej? Przecież na pozór wszystko było „jak nakazano”: bohater dziejącej się w XXI wieku powieści był urodzonym w ZSRR potomkiem czarnoskórego emigranta z USA, na Ziemi panował zwycięski komunizm, a nuklearna zagłada planujących inwazję na Ziemię Wenusjan miała wzmocnić jeszcze uczucia wrogości do agresorów-imperialistów. Jakoś jednak najlepiej zapamiętałem opis wyprawy himalajskiej na Kanczendzongę, a cała powieść szybko przekształciła się w mojej pamięci w opis bohaterstwa nie kolektywu, ale właśnie pojedynczego człowieka, który stawia czoło losowi. Być może podświadomie wyczułem, co w tej książce pochodziło naprawdę

od autora, a co było wynikiem nacisku cenzury. Podziwiałem oczywiście także sztafaż „science fiction”, całkiem nowy wówczas dla polskiego czytelnika i tak odmienny od książek Żuławskiego, Umińskiego czy Życkiego-Małachowskiego, które leżały w naszym domu. Do dziś pamiętam zdumiewające wrażenie, że wreszcie trafiłem na współczesnego autora, który oczekuje od czytelników myślenia, a nie ślepej akceptacji.



Stanisław Lem z Pegazem

Z archiwum Krzysztofa Fiałkowskiego

Potem tygodnik „Przekrój” zaczął drukować w odcinkach *Obłok Magellana*. To było już prawdziwe szaleństwo: z tygodnia na tydzień oczekiwałem z niecierpliwością na kolejny numer, choć nie drukowano tam pełnego tekstu powieści. Tym większa była radość, gdy wreszcie ukazał się imponujący tom w twardej okładce z obwolutą i mogłem poznać całość opowieści lekarza – maratończyka – kosmonauty, z którym natychmiast utożsamiałem się całą swoją dziesięcioletnią istotą. Nie miałem oczywiście pojęcia, jak koszmarne dla samego Autora była wizja stuleci zwycięskiego komunizmu, jak ponura konieczność potępienia imperialistów amerykańskich jako „Atlantydwów” i jak atakowano go za przemyślenie „burżuazyjnej pseudonauki” cybernetyki pod kryptonimem mechaneurystryki. Dla mnie ważna była wizja świata, w którym cała ludzkość przerywa rozmowy, aby wysłuchać komunikatu i zidentyfikować zagubione dziecko, w którym tylko geniusz Goyi pozwala zrozumieć młodemu chłopcu, że kiedyś ludzie zabijali się nawzajem, w którym społeczność statku kosmicznego rezygnuje z odwetu i ryzykuje zagładę dla wątpliwej szansy porozumienia z obcą cywilizacją. Wiedziałem oczywiście już wtedy, że są to nierealne marzenia, ale czy wszyscy nie marzymy o tym, abyśmy wraz z całą ludzkością stali się naprawdę dobrzy? Podziwiałem też powściągliwość Autora, który powstrzymał się od ulubionego w powieściach *science-fiction* opisu „obcych”.

► Jako potomek księgarzy dorwałem się także wkrótce do zakurzonych roczników „Nowego Świata Przygód” i przeczytałem *Człowieka z Marsa*, ale szybko stwierdziłem, że „to nie to”. Natomiast opowiadania z *Sezamu* zaskoczyły mnie i dezorientowały. *Topolny i Czwartek* i opowiadanie tytułowe być może miały jakiś wpływ na mój późniejszy wybór zawodu fizyka, ale raczej podświadomy, *Kryształowa kula* zdumiała mnie niespójnością znakomitego pastiszu opowieści historyczno-przygodowej i trywialnej części współczesnej. Podobny rozdźwięk czułem między opisami różnych podróży w *Dziennikach gwiazdowych Ijona Tichego*, a *ESID*, *Hormon agatotropowy* i *Klient PANABOGA* z wyjątkiem mnie zniesmaczyły. Na szczęście jeszcze tylko w *Czasie nieutraconym* Lem został zmuszony do dopisania dwu części do znakomitego *Szpitala przemienienia*, a potem mógł już zacząć pisać na własny rachunek.

Eden jest często krytykowany za schematyczność i nadmierny dydaktyzm. Sam rzadziej wracam do tej książki, niż do późniejszych powieści Lema. Jednak ta przypowieść o dyktaturze, która sama siebie utajniła, widzianej oczami kilku anonimowych kosmonautów, była dla mnie wtedy rodzajem diagnozy minionego okresu. Do dziś zresztą ma ona w sobie coś niezwykłego – może ostatnie zdanie: „Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że bywają jeszcze piękniejsze”? A może po prostu nigdy nie wierzyłem w rozpaczliwy pesymizm rozmówcy bohaterów, wyrażony jego odpowiedzią na ostatnie pytanie „Zero”?

Kolejne trzy powieści – *Śledztwo*, *Pamiętnik znaleziony w wannie* i *Powrót z gwiazd* pokazały, że Lem stał się naprawdę wszechstronnym pisarzem. Stylizowana na tradycyjną powieść kryminalną historia śledztwa, które zdarza się z nieznanym, nie jest tylko żartem z czytelnika, ale każe zastanowić się nad siłą schematów, w których tkwi nasze myślenie. Groteskowa opowieść o Gmachu przeżartym szpiegostwem jest tak bezbłędna stylowo, jakby pisał ją Witkacy do spółki z Gombrowiczem. Zmusza to czytelnika do zastanowienia, czy *Powrót z gwiazd* naprawdę jest tylko prostolinijną i naiwną opowieścią o trudności adaptacji kosmonautów w nowej epoce, jak to się wydaje przy pierwszej lekturze. Zwłaszcza, że w tym samym roku zjawiała się powieść uważana przez wielu za arcydzieło: *Solaris*.

Miłośnicy fantastyki w Polsce znali już wtedy przećiętne opowiadanie Murraya Leinstera *Alyx* o rozumnym oceanie zamieszkującym samotną planetę, dla którego jedynym wyjściem po spotkaniu z agresywną i pazerną ludzkością stała się ucieczka do innej galaktyki. Tym większe było zdumienie, gdy w perfekcyjnej powieści Lema znaleźliśmy ten sam pozornie schemat, ale jakże odmienne przesłanie: o niemożności zrozumienia nie tylko innej cywilizacji, ale i ludzi między sobą. Temu pesymizmowi zaprzeczają jednak ostatnie zdanie narratora. Na skrzydełku obwoluty jednej z późniejszych powieści Lem umieścił w autoprezentacji półżartobliwe stwierdzenie: „Napisałem też jedną powieść, której nie rozumiem, ale szanuję: *Solaris*”. Później widać trochę zmieniał zdanie, bo głośno twierdził, że to sławny reżyser Andriej Tarkowski kompletnie nie rozumiał powieści kręcąc swój film. Ciekawe, co Lem powie o wersji hollywoodzkiej, która ma wkrótce powstać...

Bajki robotów i nieco późniejsza *Cyberiada* ukazały jeszcze innego Lema – autora groteskowych opowieści, w których cała ludzkość zredukowana została do roli mi-

tologicznych potworów, prześladujących dzielne roboty. Wirtuozeria językowa idzie tu w parze z autoironią, pozwalającą na nowe spojrzenie na całą współczesną technologię, z której jesteśmy tak dumni.

W tym samym czasie powstał też *Niezwyciężony*. Wydaje się, że Lem postanowił zrehabilitować pogardzany przez estetów podgatunek „space opera”, opisujący zwykłe walki bohaterańskiej ekspedycji ze złowrogimi „obcymi”. Od pierwszego zdania tej powieści, jakby celowo sztamkowego („*Niezwyciężony*, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru.”) wyjątkowo daleka jest droga do zdania ostatniego, zamykającego powieść tym samym słowem „niezwyciężony”. Z dwustu stron nie dowiadujemy się niczego o wcześniejszym życiu głównych bohaterów, a mimo to Rohan, Horpach i Lauda byli dla mnie zawsze bliżsi i prawdziwsi od wielu przedstawianych szczegółowo bohaterów wielotomowych sag. Tak znakomitej opowieści nie stworzył nigdy ani Asimov, ani Heinlein ani Clarke.

Kolejną klasyczną powieścią tego okresu jest *Głós Pana*. Znow łatwo znaleźć analogie np. z *Andromedą* Elliota i Hoyle’a (skądinąd znakomitego astronoma), ale Lem bije na głowę „konkurencję” umiarem i stylem. Na historii „Projektu Manhattan” (konstrukcji amerykańskiej bomby atomowej) wzorowali się autorzy wielu książek opisujących pracę międzynarodowych zespołów naukowych pod kierunkiem polityków i wojskowych nad fikcyjnymi zjawiskami zagrażającymi ludzkości. Jednak tylko narrator Lema opisuje wypadki tak, jak „Projekt Manhattan” opisywali jego uczestnicy: Stanisław Ulam czy Richard Feynman. Dzięki temu czytelnik nie jest tylko biernym odbiorcą opowiadanej historii, ale może odetchnąć niezwykłą atmosferą „przygody intelektualnej z groźbą zagłady ludzkości w tle”.

Nie chciałbym zanudzić czytelników, nie będę więc nawet próbować opisywać powstałych w tym samym czasie grubych tomów *Summa technologiae*, *Filozofia przypadku* i *Fantastyka i futurologia*. Sądzę, że można je krótko podsumować: Lem postanowił nakłonić czytelników, których zachęcił już do myślenia, aby zrobili użytek z nowo nabytej umiejętności. Nie będę też wymieniać kolejnych licznych opowiadań z cyklu przygód Ijona Tichego, Trurla i Klapaucjusza oraz pilota Pirxa, ani innych drobnych utworów. Nie wspomnę też o ostatnich powieściach, choć są one nie mniej świetne od poprzednich i zapewne pozwoliły odkryć Lema kolejnemu pokoleniu.

Nie sposób jednak nie wspomnieć dwu znakomitych tomów: zbioru fikcyjnych recenzji z nieistniejących książek *Doskonała próżnia* i zbioru wstępów do nie istniejących dzieł *Wielkość urojona*. Poza Borgesem nie znam autora, który byłby tak hojny w publikacji kilkunastu opracowań pomysłów fabuł. Naprawdę żał, że Lem nie napisał jeszcze choć kilku powieści wykorzystujących te pomysły. Z drugiej strony, nie ma chyba autora, do którego tak doskonale pasowałyby słowa Izaaka Babla: „On mówi mało, ale on mówi smacznie. Jak on coś powie, chciałoby się, żeby jeszcze coś powiedział”. Nadal tego chcemy...

Jednakże najważniejszą rolą, jaką odegrały książki Lema dla mojego pokolenia, było budzenie do myślenia. I w czasach stalinowskich, i za Gomułki i Gierka wydawane oficjalnie książki „popularne” były z reguły lekturą raczej usypiającą. Chwała Lemowi za to, że dał nam tyle – i że był tak bardzo inny!